

# Dania - trochę lądu, trochę morza

Dlaczego pojechaliśmy do Danii? Planując wakacje w 2004 roku musieliśmy pogodzić kilka spraw. Po pierwsze nie może być za daleko, ponieważ jest to pierwsza dalsza samodzielna wyprawa Basi motocyklem. Po drugie musi być atrakcyjnie i z przyzwoitymi warunkami socjalnymi. Namiot nie wchodzi w grę. Po trzecie, i to chyba najtrudniejsze do spełnienia, miejsce musi być nowe, w którym jeszcze nie byliśmy. W grę wchodziła Szwecja lub Dania. Wybraliśmy Danię chyba ze względu na jej położenie wyspiarskie i tym samym długą linię brzegową. Basia mogłaby godzinami leżeć na plaży i nic nie robić. Jako że urlopu też nie mieliśmy za wiele (dwa tygodnie), plan był taki: płyniemy do Kopenhagi promem w nocy. Tym samym po dotarciu do Świnoujścia jesteśmy od razu na miejscu i zaoszczędzamy co najmniej dwa dni.

Wyruszamy w dwa motocykle ja na Hondzie AfricaTwin, Basia na Suzuki GS 500E. Co za luksus pakowania, w końcu nie grozi nam przeciążenie motocykli. Mogę nawet wziąć całą szczoteczkę do zębów. Kiedyś zdarzyło mi się obciąć połowę dla zmniejszenia wagi. Dojazd z Wawy do Świnoujścia podzieliliśmy na dwa dni. Nocowanie wypadło w Wałczu w Ośrodku Olimpijskim. Spędziliśmy tam bardzo miły wieczór. Basia mogła sobie wspominać swoją karierę sportową. Ze zmiany dyscypliny z wioseł na motocykle jest chyba zadowolona. Następnego dnia jesteśmy w Świnoujściu dość wcześnie i gdzie idziemy? Oczywiście na plażę.

Zaliczamy kąpiel w morzu i obowiązkowo Basia musi przejść cały deptak nadmorski, no bo tutaj jest tyle fajnych rzeczy do kupienia. Wieczorem załadunek na prom poprzedzony chyba dwu godzinnym oczekiwaniem. Organizacja fatalna, po co nam każą meldować się tak wcześnie. Mocowanie do pokładu motocykli oczywiście wzbudza moje wątpliwości. Ten jeden pas na pewno nie utrzyma motocykla. Ale szanowna obsługa nie wie o co mi chodzi i poprawki pogarszają mocowanie. W końcu idziemy do kabiny zakładając, że sztormu nie będzie. Co do kabin: nie bierzcie kabin wewnętrznych, jeżeli macie klaustrofobie, są tak małe jak przedział kolejowy i to bez okna.



Świnoujście - mania kupowania



Kopenhaga - syrenka obowiązkowo

Wczesnym rankiem zrywamy się ze snu, no bo to już Kopenhaga. Wsiadka i jesteśmy na miejscu. Cały dzień na zwiedzanie miasta. Motocykle i ciuchy udaje nam się zostawić w pobliskiej kawiarni i możemy udać się w miasto. Obowiązkowo Syrenka, i dalej wzdłuż nabrzeża zaliczamy wszystkie punkty według przewodnika.

Co widzieliśmy dokładnie, o to musicie się spytać mojej żony. Dla mnie miasto jak miasto, trochę zabytków w rodzaju pałac, katedra, no może fajny kanał portowy z pięknymi kamienicami na brzegu i główny ciąg handlowo-turystyczny już mniej fajny. Następują pierwsze próby zakupu czegoś do jedzenia.

Radzę się odchudzać, ceny są naprawdę wysokie. Oczywiście zaczynamy się spierać: moje skapstwo przeciw Basi beztróscie. No ale to w końcu nasze wakacje i nie ma co sobie ich psuć. Na koniec napiszę ile to nas kosztowało. Pogoda wspaniała, ale czas nas pogania. Musimy wracać do moto i przejechać do naszego pierwszego noclegu w Hjembek. Odległość niby niewielka ok. 100 km, ale trzeba wyjechać z Kopenhagi i trafić na autostradę. Mój naiwny pomysł, aby jechać w dowolną stronę byle tylko od centrum jakoś się nie sprawdza. Bardzo szybko gubimy się, a na dodatek Geesik cosik zaczyna wariować, dostaje wysokich "wolnych obrotów" między 3 a 4 tys. Jechać się jakoś nawet da, ale Basia traci "głowę" Jako że brać motocyklowa jest wszędzie tak samo życzliwa zaraz jakiś miejscowy młody człowiek na moto oferuje pomoc i pilotuje do serwisu. Emocje trochę opadają, zaczynamy myśleć. Przecież serwis nas zniszczy finansowo, a i tak pewnie nie będą mogli szybko zdiagnozować usterki. Czasu mamy coraz mniej, musimy być na miejscu do 19, a jest już dobrze po 16. Decyzja: sam szybko naprawię, przecież nie raz już grzebałem w gaźnikach.

Demontaż baku, inspekcja organoleptyczna gaźników, wszystko OK, można montować i sprawdzić jak będzie. I jest dobrze. Geesik zapala i ma już normalne wolne. Nawiasem mówiąc później jeszcze raz nam wyciął taki numer, ale na szczęście udało mi się namierzyć co pomaga na tę dolegliwość. Wystarczy przekręcić kranik paliwa w pozycję PRI. Tzw. wolny przepływ. No tak wina leży w kraniku. Po powrocie do Polski rozkręciłem go i znalazłem małą grudkę gumową która przymykała jeden z czterech otworków przepływu benzyny. Podczas gdy ja walczyłem z motorem, Basia zasięgnęła języka u miejscowych, jak się dostać do autostrady. I co się okazuje, należy wrócić do miejsca z którego wyruszyliśmy i wzdłuż nabrzeża jechać prosto, a później wg drogowskazów do autostrady. Rada okazała się zbawienna, jesteśmy na obwodnicy w dwadzieścia minut. No teraz to spoko 130 na budzik i będziemy w domu.

Ale niestety jeszcze jedna przeszkoda: trzeba w określonym miejscu zjechać na właściwą nitkę autostrady. Należy zmienić pasy na lewo i jechać dalej lewą drogą rozwidlenia. Cholera, zanim się zorientowaliśmy zrobiło się krótko, a na dodatek prędkość nam spadała.

Na szczęście skończyło się na "lekkim" pisku opon przepuszczających nas aut i jakoś przeskoczyliśmy na lewo już prawie po poboczu. Dobrą chwilę nie mogłem dojść do siebie, przecież mogli nas rozjechać jak naleśniki.

Ale tak naprawdę to mam wątpliwości czy był to rozjazd bezkolizyjny, jakby przystało na główną autostradę. Do Hjembek dojeżdżamy o czasie. Jest to mała wioska typowo rolnicza i wbrew nazwie całkiem fajna. W miejscowym Youth Hostel dostajemy piękny domek, nie szkodzi, że prawie jak kempingowy, ale za to jesteśmy w nim sami.



Kamienice nad kanałem w Kopenhadze



Domek Youth Hostelu w Hjembek



Następnego dnia wycieczka po Zelandii, zwiedzanie pałacu królewskiego Frederiksborg. Wstęp drogi, 50 koron, ale warto dać, jest na co popatrzeć. Następnie skok do Helsingor i zwiedzanie Kronborgu - zamku Hamleta. Tu wnętrza znacznie skromniejsze, nie powiedziec ubogie, ale za to kilkupoziomowe podziemia robią wrażenie.



Pałac w Frederiksborg



Pałac Frederiksborg z drugiej strony

Drogę powrotną wybieramy nad morzem i jedziemy wzdłuż północnego brzegu. Czujemy się jak w niekończącym się miasteczku, wszędzie między drogą a morzem piękne wille otoczone zadbaną zielenią. Jeszcze tylko promem na drugą stronę Isefjord i jesteśmy w naszym Hjembek. W kolejny dzień jedziemy na plażę. Trafiamy na półwysep Rosnaes, wszędzie domy letniskowe. Prawie jak u nas na Mazurach z tą różnicą że zamiast jezior jest morze. Na samym końcu półwyspu jest już coś w rodzaju parku i kończą się tereny prywatne. Plaży nie znaleźliśmy bo wszędzie brzeg zavalony ogromnymi głazami. Nota bene bardzo malowniczymi.



Kronborg - zamek Hamleta



Głazy na półwyspie Rosnaes



Wracamy z powrotem i w końcu udaje nam się znaleźć piękny pusty kawałek plaży. Basia leży plackiem i się opala, a ja co piętnaście minut wchodzę do wody. Pływanie super: nie ma fal, woda kryształ, pomost pozwalający ominąć przybrzeżne płycizny z ostrymi kamieniami i do tego słońeczko. W drodze powrotnej zaliczamy piękny pałac w Lechenborg, gdzie bramy do otaczającego go parku były otwarte, a w środku nie było żywego ducha.



Jedna z odwiedzonych plaż



Lechenborg

Następnego dnia zmiana miejsca pobytu, jedziemy do odległego o 150 km Faaborga. Po drodze musimy zaliczyć najdłuższy most w okolicy, 18 km nad cieśniną Wieli Belt. Łączy on wyspy Zelandję i Fionę. Po drodze planujemy zatrzymać się w Kvaerndup, aby zobaczyć zamek Egeskov, największą atrakcję Fiony. Dzień zapowiada się ciekawie. I rzeczywiście, w końcu to piątek 13-go. Ruszamy, pogoda niestety niepewna, ale nie pada. Dojeżdżamy sprawnie do bramek mostu i po opłaceniu po 125 koron od motocykla jedziemy. Pierwszą częścią mostu Storebaelt jest most wiszący, wspinamy się jak pod jakąś wielką górę. Wrażenie niesamowite. Jesteśmy pomiędzy dwoma ogromnymi pylonami, rzut oka w kierunku Fiony i o zgrozo - przed nami czarna ściana deszczu. A my oczywiście bez ubrań przeciwdeszczowych.

Jak się tu teraz zatrzymać na moście. Mamy fart, za częścią wiszącą mostu jest mała wysepka, gdzie między innymi wychodzi z tunelu podmorskiego linia kolejowa. Możemy skręcić w prawo do jakiejś małej dróżki. Po wskoczeniu w ubrania przeciwdeszczowe wjeżdżamy na drugą już normalnej wysokości część mostu opartą na tradycyjnych słupach wbitych w dno. Dojeżdżamy do stałego lądu do miasta Nyborg. Deszcz leje, więc co, poczekamy chwilę, może przejdzie. O naiwności ty moja. Ile to razy doświadczenie uczyło cię, że jak pada to nie wolno się zatrzymywać tylko w palnik i jak najszybciej do domu. Ale jako że mamy mnóstwo czasu idziemy do MacDonalda na herbatko-kawkę. Pijemy długo, ponad godzinę i nic - dalej pada. No dobrze zmieniamy lokal i podjeżdżamy do średniowiecznego zamku Danehof, miejscowej atrakcji turystycznej.



Most Storebaelt w deszczu





Zamek w Nyborgu

Zwiedzamy, robimy fotki w deszczu i w końcu decydujemy się jechać. Może tam dalej to już nie będzie padało. Ale decyzja jak się okazało była mocno spóźniona. Deszcz co był w miarę do wytrzymania zamienia się stopniowo w istne oberwanie chmury. Dojeżdżamy do zamku Egeskov, szukamy gdzie tu się schować, a tu guzik, tylko parking, jakiś sklepik z ceramiką (?) i kasa. Jak chcesz wejść do parku i pałacu, gdzie jest oczywiście całe zaplecze turystyczno-kawiarniane trzeba zapłacić po 80 koron od głowy. No nie, wobec takiego przymusu, rezygnujemy zgodnie z zaliczenia tej atrakcji. Pocieszamy się, że pewnie pałac jest mały, bo go nawet nie widać zza szczelnych żywopłotów.

Parkujemy motocykle pod daszkiem jakiejś tablicy informacyjnej, a sami chowamy się pod dachem drugiej takiej tablicy. Tak czekamy następną godzinę. Basia ma trochę dość, robi się zimno, buty i rękawiczki przemoczone. Ulewa w końcu traci trochę na sile i ruszamy do Faaborga. Na miejscu suszenie: gazety w buty i w rękawiczki, z resztą ubrania nie jest źle, przeciwdeszczówki spełniły swoje zadanie. Basia nie dość że jest lekko blada od zimna, to rączki ma w pięknym czarno-filetowym kolorze. To puściła farba z rękawiczek. Pocieszam ją, że pewnie tego nie da się zmyć. Na szczęście zwykłe mydło pomaga. Wieczorem w końcu się rozpogadza i możemy zaliczyć małą wycieczkę po Faaborgu. Miasteczko okazuje się bardzo malownicze z pięknymi parterowymi domkami i rosnącymi przed oknami malwami. Mimo 13-tego dzień kończymy tradycyjnie winkiem w dobrych nastrojach.



Faaborg - już po deszczu



Faaborg - uliczka z malwami

Pojawił się jednak problem. Musimy zmienić trasę dalszej podróży. Planowaliśmy dojechać na północ półwyspu Jutlandzkiego.

Ale co będzie, jak takie dni deszczowe się powtórzą. W końcu Dania to też Skandynawia i może padać. W deszczu nie damy rady robić przelotów dziennych po 400 km, jakie nas czekały. Decydujemy się jechać na duńskie wyspy południowe. Następny punkt noclegowy

to Maribo na wyspie Lolland. Teraz kilometry dziennego przebiegu robią się małe i tym samym mamy więcej czasu na zwiedzanie. W drodze do Maribo zatrzymujemy się na wyspie Tasinge i oglądamy Valdemarslot. Jest to bardzo ciekawy zamek z dwoma budynkami-bramami postawionymi na normalnej publicznej drodze.

Następny przystanek robimy na wyspie Langeland, gdzie wg przewodnika ma być zamek Tranekaer. Owszem jest, tylko prywatny i obcym wstęp wzbroniony. Nie zrażeni tym myślimy sobie: jest tu jakiś park więc może od strony parku będzie ładny widok na zamek i uda się cyknąć fotkę. Ale oczywiście wstęp do parku to wydatek 25 koron od osoby. Co robić, płacimy i wchodzimy.

Po ok. 100 metrach wiemy już, że to wyrzucone pieniądze. Park okazuje się zwykłym zapuszczonym lasem z tłumem pokrzyw. W oddali widać nawet zamek, ale nie lepiej niż z drogi.



Valdemarslot





Tranekaer, widok za 50 koron

Bogatsi o doświadczenie, ale biedniejsi o kasę jedziemy do przeprawy promowej. Teraz przekraczamy Wielki Belt już drugi raz. Koszt biletów jest niestety taki sam jak przejazd mostem. Nic w tej Danii nie da się zaoszczędzić. Od jakiegoś czasu jedziemy można powiedzieć trochę morzem, trochę lądem i teraz tak będzie już ciągle. Osiągamy Youth Hostel w Maribo. Tak, tak rozumiem, też bym się napił Malibu. Ale to nie ta strona świata. Idziemy na wieczorny spacer po mieście. Miasteczko jest piękne, jak wszystkie jakie do tej pory widzieliśmy. Jest sobota, jutro powinniśmy iść na Mszę, ale jak to zrobić w Danii? Przecież tu są same kościoły protestanckie.

Myśląc tak wychodzimy prosto na kościół katolicki. Jak się następnego dnia dowiedzieliśmy, w Maribo jest duży ośrodek katolicki, jeden z nielicznych w tej okolicy. Tego dnia zrobiliśmy obowiązkowo wycieczkę po okolicy. Pojechaliśmy do Nysteddo muzeum motoryzacji. Można je polecić mimo, że z motocykli mieli tylko Harleya i rodzimego Nimbusa. Ale za to samochodów wystawiono naprawę sporo. Wrażenie robią przedwojenne limuzyny, szczególnie te z wyższych półek. Można z bliska ocenić jakość i dobry smak projektów. No i te rozmiary, według zasady jeśli coś ma być dobre, to musi być duże. Naprawdę ma to sens. Pobliski zamek Alholm okazał się niewypałem, teren prywatny - wstęp wzbroniony.



W drodze na wyspę Mon



Klify kredowe - wyspa Mon

Następnym etapem naszej podróży były kredowe klify na wyspie Mon. Dojazd jak zawsze bardzo malowniczy: morze, ląd i mosty między wyspami.

Po zakwaterowaniu w miejscowym Youth Hostel idziemy na klify. Kilku kilometrowa droga wiedzie przez dziki las. Jest to rzadkość w Danii. Prawie wszystkie lasy już dawno tu wycięto. Docieramy do morza, widok niepowtarzalny.

Klify w Dover to pestka, Tutejsze są ogromne, w fantastycznych kształtach i ciągną się kilometrami. Najwyższy klif ma 130 m. Następnego dnia robimy ładnych parę kilometrów brzegiem nie mogąc się nacieszyć widokiem klifów. Wracamy późno zaliczając piękny, no bo jaki miałby niby być, zachód słońca. Wszędzie jest cicho i pusto mimo, że to środek sezonu. Ci Duńczycy to w ogóle nie chodzą, dojeżdżają samochodem do klifów, schodzą w dół i OK można wracać. Ale to w końcu ich sprawa, my jesteśmy zadowoleni - sami w tak pięknych okolicznościach przyrody. Przyznajemy zgodnie, że Mons Klint to przebój Danii, lepsze niż Kopenhaga.



Mons Klint





Kopenhaga - pałac Rosenberg

Pomału czas naszego urlopu dobiega końca. Jeszcze tylko noc w Store Heddinge i wycieczka na Stevns Klint w Hojerup, gdzie zawisł na klifie maleńki kościółek. Ostatni dzień w Kopenhadze spędzamy na zwiedzaniu pałacu królewskiego Rosenberg. Jako ciekawostkę można wspomnieć, że pałac został zamieniony na muzeum już 1838 roku. Po prostu królewska para doszła do wniosku, że wszystkie te wspaniałe dzieła sztuki trzeba udostępnić szerokiej publiczności. Sami przenieśli się do innego "mieszkania". Jak taki sposób myślenia przydałby się w Polsce.



Zachód słońca na wyspie Mon

Powrót promem standardowy: długie oczekiwanie na wjazd i fatalne mocowanie motocykli. No może była różnica: kabina należała do tzw. zewnętrznych, była troszkę większa i posiadała okienko zwane bulajem. Droga ze Świnoujścia do Warszawy przebiegła już bez specjalnych przygód nie licząc jazdy leśnymi drogami w deszczu. Zachciało nam się odwiedzić znajomych w Borach Tucholskich. Africa to wiadomo, ale Geesik lekko zarzucił na błotnistej drodze. Basia wykazała pełne opanowanie maszyny, jak przystało na motocyklistkę z paroma tysiącami kilometrów w siodle i gleby nie zaliczyła.

Podsumowując nasz wyjazd. Dania warta jest obejrzenia, nawet a może szczególnie bez Legolandu. Wszystko nam się bardzo podobało

Koszty wyjazdu:

Prom w dwie strony, dwa motocykle, kabina - 1400 zł

Benzyna 3 tys km, spalanie łączne (dwa moto) 8 l/100km - 1200 zł

Noclegi pokój dwuosobowy Youth Hostel , 10 dni x 300 koron - 2000 zł

Jedzenie, opłaty za most, promy i muzea dopełniły całkowitej sumy ok. 6 tys zł

Może i dużo, ale naprawdę warto było.